

146/70

IGNACY FIK

K9/3

KŁAMSTWA LUSTRA

286482.

II

KRAKÓW 1932.

GEBETHNER & WOLFF, WARSZAWA - KRAKÓW
ŁÓDŹ - LUBLIN - WILNO - ZAKOPANE

IGNACY FIK

Kg/3 50

KŁAMSTWA LUSTRA

KRAKÓW 1932.

GEBETHNER & WOLF, WARSZAWA - KRAKÓW
ŁÓDŹ - LUBLIN - WILNO - ZAKOPANE

WYDAWCA
KRAKÓW
KRAKÓW
KRAKÓW

LPI 4d

286482

II

K-70/146

13.1. 200, c.



Tytuł wiersza.

Gdy czytasz i słowa biegną — widzisz ich krzywe plecy,
To długą ręką - jej kosą: przetnij łodygi ich biegu
I w dłoniach tłum gniotąc, gnij krwawą miazgę rzeczy
I na tem zawiędłem gnoju sadź życia krzyk napęczniały: *szczegół.*

Owocujące drzewa zachwyków trząś. Dłonią ogrzewaj owoce
treści
Ciasne czerwoną skórą słów - blach wkleśnię wgiętych.
Na skórze anegdot suchych, na łakach spłaszczonych powieści
Wybuduj: *stóg owali* - owali psalm, szczelnie palcami opięty.

Przez liście drzew - zdarzeń słuchem przeprowadź zieloną krew
melodji

I patrz na liści opadających podszewkę odkrytą.
A wtedy szept oddechem w żyłach słów ściekającej wody
Powie Ci: *Wiersza Tytuł.*

Młodość.

Kiedy wśród swych szesnastu lat klęczałem,
Patrzący w żelazną dal siną,
Poemat mi rosł w skrzydłach oszalały,
W zapachu rozkwitłych w złote kwiaty minut.

Wielkie nożyce szły olśnionych planów
I cięły płaty gęsto — białego powietrza,
Twarz miałem od nagłych krzyków poszarpaną,
Strach nagły z wichrami się sprzeczał.

Dnie miały profile w niebieskich pręgach
Od moich dłoni pieszczących uderzeń,
Dzień mi się kłaniał, dzień przedemną klękał,
Podawał usta swe czerwono - świeże.

Rychle jest kartowanie myśli strwożonych,
Drżących w seledynowych wachlarzach,
Pomięte płaszcze wdziały cztery strony,
Nikt słów mych nie powtarzał.

Widziałem pierwszą, drugą i ostatnią jasność rana,
Krzyk niósł swe drgające pocałunki wichrom,
Spłonęła depesza na oślep rozesłana
Srebrno - rewolucyjną szyfrą.

Zatasowałem tajnie więc ten pomysł lichy
W krokach maszerującego losu,
Bóg stał się uśmiechająco - cichy,
Owinał się w welon swych popielatych włosów.

Warga trwa twardym pergaminem sztywnym,
Jest przerażona rychłą stalową zarazą :
Gdy słońce zgasło — ośmielone sny wnet
Rozpięty ballady gwiazdne na szczyrniały lazur.

Rozcięte, wilgotne, słodkie, moje usta
Do zimnej, bladej twarzy życia przyciśnięte w gniewie!
Smutek piekący, dawny ustał,
Nikt nic nie wie.

Pusty fortepian.

Na fortepianie śpiewa dziewczyna piąstkami gniewnemi
„Tłukę się ciągle przed wzdętą i elastyczną blachą,
Bardzo samotnie i źle mi,
Oczy mam w ciemnych aureolach strachu.

Fortepian jak Drzewo Żywe chwieje
Oktawy szerokie. Owija mój w nie gniew.
Moc uśmiechnięte pomięła nadzieje,
W grymasach warg wstaje - krzyczy - biegnie.

Boję się połamanych gałęzi tajemnicy
I wyszarpanych na oślep tonów: drzazg lśniących;
Tak samo po ścięciu wierzby krzyczy
Matowa śmierć płaskimi wiórami na łące.

Bronzowy żal falami przynosi
Na rękach: zwisłą ciemność, ciężką jak ołów,
Och! takie rozpękłe noce po same niebiosy
W strzelistych słupach gamm zagubią mnie naokoło.

I cóż pomoże wysmukły, ceglasto - srebrny wazon,
Pałący ognisko rany klombem georginji?
Cóż - że w pragnieniach usta się żarzą,
Pergaminowych pasków bladej pustyni?

Powietrze jest wielką ćmą w aksamitach,
Maluje języki świec w pastelowych łuskach,
Bronzowy oddech dyszy, o serca się żywe pyta,
- I płaskie połyka echa zmęczonych, bez tchu: s k a r g .

Oburącz trzymam wyдутą, twardą, spragnioną epopeję,
Nad szare morze wysyłam wyrazów sto-lecących, jak tłuste motyle
Pukanie. Monolog. Krzyk życia i dzieje.
Opadłe jak płatki jabłoni: czekań strwożonych chwile.

Żyję przy bajki wspaniałej tłukącym się sercu,
Niezgrabna trwoga depce kościoły śpiących przygód-
Fortepian jest zakutą wzgardą życia twierdzą;
Ja: pukającą w ogromną bramę: zazdrością lichą.—
Taki początek i koniec—“

—Stał za nią o tęgich, mocnych barach Uśmiech
I oczy wiązał na wielki węzeł chustą,
A aksamitne płatki lilji podkładał żałośnie
Wąziutkim, czerwonym Ustom.

Wiara.

Gdyby bogowie byli drzewami, jak las szumieli,
Wonią żywicy lepili nam nozdrza, uszy wiązali ciszą,
Gdyby pod wargi pchali chropawą skórę konarów,
Oddechem modlitw, wiszących w gałęziach i liściach, dysząc -

Gdyby bogowie w ile grynszpanem chłodnej rzeki
Leżeli, bledziutkie twarze grzejąc pod szkła wód leniwych słupem
Gdyby palce rąk obłych mieli, jak długie łodygi
I usta muskali o łuski ryb tłustych i grubych.-

Gdyby bogowie jak tabun w pianach i rzeniu rumaków
Po stepie hal tupotem huczącym i burzą gnali
I pod kopyta niekute i pyski rozrosłe dziąskami
Gniotli soczyste trawy i słodką czerwień malin. -

Gdyby bogowie jak mialki śrut z tęczy motyli
O zeschłym chudziutkim brzuchu i parze skrzydeł rozrosłych
Lecieli na dźbłach wypocząć i tworzyć wiotkie bukiety
Sprószone barwą cudaczną, zapachem światła i wiosny. -

Tak :

Wtedy w tym oszalałym bezwładzie, w tej ciszy zgietku
Kazałbym w gnoju mózgu białego rozrósć się sercu drzewem,
Poprółbym skórę w szczeliny, by chłonać pogańskie powietrze
I byłbym w oddechu świata : wiarą, pokorą i śpiewem !

Oczy za horyzontem.

Noc jest kołdrą. Noc ciała nasze szczelnie kryje.
Nocą ciepłą i gęstą otulić się można, jak morzem lądy.
Fałdy jej grube naciągnąć można na się aż po szyję,
- I tylko oczy nam leżą w słońcu : Oczy za horyzontem.

Trudno wypocząć w tym hałaśliwym Światła połowie,
Na oczy otwarte wciąż sypią się Czasu gruzy.
Przez całe życie nie można zamknąć opuchłych powiek,
A przymrużenie ciągle piecze, gniecie, nuży.

Bo przestrzeń światła jest sucha i pusta,
Słońce: wulkan w skorupach wygiętych sklepień.
Ach — raz je przebić ! Niech krew - lawę wychlusta
I prądem gęstym oczy nam wreszcie zalepi !

Nie są litosne ręce lawy na naszych źrenicach łakomych,
Wzrok w palce się wpije, wyszarpią włókna kleszcze
I poprzez nabite na igłę wzroku dłonie ciekących komet ;
Widzieć będziemy ciągle : Czas, Światło i Przestrzeń !

Bezbronność marzeń.

Wonny szum kęp i uczta pogodna burzanów
I smukłość obła traw warkoczy
Omdlłość ma słodką, nienazwaną,
Drażniącą słuch, woń zapachu i oczy.—

Niema instynktu w krwi zielonej
I step nie płacze nóg żadnym biegiem
I w młodej wiośnie niema obrony
Przed wiatrem, płynącym bez brzegu,

Tak! niepokoi patos w hal lśnieniu,
W rasowym połysku ich gładkiej skóry
I w nozdrzy stepu płochliwym drzeniu,
Które podrażnił cień luźnej chmury.

Lecz nie widziałem smutniejszej pokory,
Jak kiedy pola i łąki równiny
I równo przycięte bory
Chylą się sennie przed burzą i - są bez winy.

Niech ogień myśli zuchwałych pospala
Trawy muskane mych marzeń,
Co szumią jak prerje i hala;
Niech spłoną w beczelnym pożarze!

Refleksja uparta i okrutna
Czerwonem powietrzem i rudym kurzem
Niech je nakryje falą, jak wstęgą płótna —
— Niech nielitosne będą burze.

I nic skazane nie jest bardziej
Na popielatość bezbarwną i popiół,
Jak sama w sobie samotność, co wszystkiem gardzi,
A którą ucisk serce młodego opiął.

CieŜar gliny.

Nie mówcie, Źe moje wiersze s¸ uci¸te szarfy,
Źe rym tak zwisa, jak poprute strz¸py!
Przytulcie blade usta : zapiek¸ gorzkie barwy
I wetn¸ si¸ nier¸wne, ostre, kalecz¸ce z¸by!

Przeno¸nia ta ostatnia, jak rozerwana grobla,
Opada uci¸tym oddechem w zatamowanej jeŹdzie,
Patrzcie : jak ze strof jedna i druga i trzecia krwi kropla
S¸czy si¸ rys¸ ¸ciany w betonowane przepa¸cie.

Rytm wyparowa¸. Wiersz, jak fortepian pusty,
Nakry¸a stop¸ ci¸Źk¸ cz¸pi¸c¸a skandem strefa.
Tak! tak! Rozpek¸n¸ tych l¸ni¸cych przepasek uzdy,
A teraz na chwile jest pauza. Teraz wiersz m¸j ziewa.

S¸owa — przestronne pud¸a, s¸owa — to pr¸żne kruŹe,
Lecz nagle wzbudzone powietrza wino zadrŹy -
I p¸jdzie strach — nachyli was — i wasze dusze
Wyleje z was omdla¸ych do czekaj¸cych mych naczy¸.

But¸w mej tre¸ci nie wbij¸ w ziemi¸ korzeniem krzyŹy,
I d¸o¸mi modlitw mych nie wesprze si¸ lazur.
Widz¸ tu tylko plame¸ cienia — plama dyszy —
I czuj¸ kor¸, wo¸, wilgo¸, szelest rosn¸cych drzew lasu.

Mnie nie ponios¸y na skrzyd¸ach oszala¸ych jazdy —
Mnie ci¸Źar gliny do gliny globu przytwierdza —
LeŹ¸, jak str¸k zamkni¸ty, ciasny, gruby, Źylasty —
P¸cznieje we mnie ziarno t¸uste: *m¸zg serca*.

Kłamstwa lustra.

Gdzież świat wędruje — dźwigając dni tobół,
Jak krzywy kramikarz obrazki z odpustu ?
Ach! wszystkim rzeczom ktoś buty do marszu obuł.
Przeszły na wszystkie strony. Zostałem sam, patrząc w lustro.

Dziś znam kłamstwo naskórką dłoni: dwuwymiarowość
I warg mych pomyłkę okrutną: chłudość szklistą ;
Na płaskim szkle oddechem matowieje słowo.
Nie wiercie do siebie samych pisywanym listom !

Wieczór.

Jak biała glazura spełzł dzień z twarzy rzeczy i ginął
I wygasł zapach światła ostrego, układała się woń nowa,
Nad świat podniosła cisza swe nozdrza tłuste, jak najedzona
krowa

I żuła, jak trawę powiedłą: ostatnią wiąznię minut,
Przestrzeń skończyła się w sypkich poduszek bezkonturze
I czas wyłuskał się z żółtych płatków zagasających świec
z wosku ;

Nie chcę stać z sercem płonącym, jak lampa na płaskim murze,
Ale chcę odtąd zlepić życie z brył białych - z głośną troską.

Wyzwolenie.

Byłem złem drzewem. Żle rosłem.
Zadużo miałem ocz-liści, Zadużo dłoni-gałęzi.
Dziś mnie utopił wylew ciężkiej wiosny
I ja w niej kwitnę pękami nerwów—skuty więzień.

Na wszystkich twarzach liści siada mi słodycz powietrza.
Tak ciężko. Tak blisko. Matowo. I powiek nie mogę odmrużyć.
Palce, jak sztywne promienie, płaczą się w snach i płaskich
rzeczach,
Nie skurczę się nigdy w kułak chropawy i duży.

—A chcę się otrząść ze wstążek i więzów wzroku,
Odlupać z siebie chcę szeroki słuch skóry i przestrzeń dotyku,
Jak krwią ociekły kadłub chcę stanąć na dwu stopach krzyku—
I pochylony całym sobą :
zrobić przed siebie pół kroku !

Odcięte dłonie.

Wspomnienie pierwszej miłości otwarte ma usta,
Chce mówić i zapomina wyrazy.
Popłatały mi słowa ciche i niebieskie gusła
I pył na oczach cięży mi i waży.

Kto mi zarzucał nikłe swe dłonie na szyję?
Kto w garściach powiek piekł czarne żużle?
Ach! plażę sypałem sypką z twych ruchów, wychyleń,
Na wargach miałem odrę i różę!

Kiedy mówiłem imię twe, czułem je w ścierpłych zębach
Jak smakowanie kwaśnego owocu.
Oczy mi kwitły w piekących i ceglastych strzępach —
Czemu te kwiaty palą się i czemu migocą?

Mą świeżą łakę spojrzeń, zielone łodygi pragnień,
Oczyrna zbudzonemi wyzierające wokół,
W zagony monologu pławiłem, jak szał młodego ogrodu
I serce wiodłem w mych dłoniach, jak do źródła jagnię.

Aż zgadłem, że ogień gałęzi, szum gałęzi kona,
Że są całunki suchemi i płaskimi liśćmi,
Że pytanie po stokroć pachło potrojoną
Że miałem, jak wstążkę, stęp oszalałych myśli.—

Czy próbowałaś wtedy wyłuskać groch ten spęczniały ze suchych
słów łusek
I dłoń położyć na ciężar potworny tych przeleknień?
Czy rwałaś sznury potroczonych wzruszeń?
Czy myślisz, że Bogu czasem świat pod dłonią nie pęknie?

Na sali balowej.

Czarny, nieznany pan biorę cię w mocne ramiona :
Wiesz, że nas wiąże cicha, skupiona, bezsłowna umowa,
Każdą twą dumę zwiążę, każdą twą siłę pokonam
I w karnych ruchach cię zamknę, jak krzyk w ciasnych słowach.

Twe nagie ramię zwija mi zwrok mój, jak srebrną blachę
I wrastam dłońmi w twoje plecy przez twoje gorące suknie,
Chylę cię na wznak, trzymam — to bicie serca tak blahe-
Ja czuję tylko opór, ciebie, i gnę cię, aż się ugniesz.

Własnym uśmiechem twoim owinę cię skośno, jak szalem
I idąc, jak olbrzym, w tłumie spłoszonym, wyniosę cię, moją,
z sali.

Jak obły dzban w biodra cię ujmę i do ust nachylę —
Klękam wśród fałdów kotar. Nie bój się. Nie łamię się
buganwille.

Nasza miłość.

Ogromnie małe nasze życie u stóp tych ciężkich kotar,
A miłość nasza, jak róże pożaru rzucone w dno nocy,
Lecz ja Cię z pod tej podeszwy wyrwę i z ciżby wymotam
I, wznosząc twe białe ramiona, otworzę tym tajemnicom oczy.

I blizną Ciebie srebrnej przekreślę tą jednostajność zasłon,
A gradem twoich dłoni przedziurawię w strzępy.

Te kwiaty twoje zastygną w gwiazdy, zapłoną i nie zgasną,
W ruinach sypiącej się nocy :

twój olbrzym przed tobą jasną ukłękne !

Oczekiwanie.

Kiedy tancerki dwie w czarnych trykotach
Tańcząc, stanęły na koniuszkach palców,
Oczekiwania stała chwila złota,
Oczyrna serca nasze drżące karcąc.

Nie wolno wtedy oczom się trwożyć i zmrużyć
I dłonie mocniej ściskają krzesła poręcz,
Zawisa zwrok w huśtawce zastygłej podróży,
Na myśli strach zarzuca popielate story.

Robimy z ludzi płonące płomyki
I te, jak liście, kwitną na tańca knocie,
Nie można zdmuchać ich piersią, spłoszyć krzykiem,
Ani zamazać krwią, jak błysk na grocie.

Tak czekam ja. Jak wiotkie są mej nadziei pomysły
I jak uparcie je trzyma trwoga płasko na tle płótna - !
Czekam, by twoje wąskie usta krwią napryśły
I zadyszała się w tobie pieśczęć chęć okrutna.

Oddalenie.

Jak ustami połamię te wielkie skiby oddaleń,
Które rozorał twój odjazd, a moja zasiewa tęsknota ?
Jak zgarnę rękami wiotkimi wspomnień ciebie fale,
Gdy mam je w sercu i w mózgu : w pożarach i w potopach ?

Te polepione snem rzęsy twoje, jak szare balasy, mnie grodzą-
Te naślinione kąciki ust całowanych związały mnie w snop
omdlały,
Ten zapach ciebie budzącej się w łóżku, jak woń słodkiego
owocu,
Nakrwawia mi wargi boleśnie pragnieniem dostałem—

Jestem nasieniem drzewa, budzącem się w słodkim mięsie
gruszy.
Ty jesteś ciężkiem, sycącym mnie tłustą wilgocią, więzieniem.
Któż przegryzie ten dziwny - nieprzeźroczysty tłum odurzeń
I, wypłuwszy mnie z ciebie, pozwoli korzeniami rosnąć na
całą ziemię?

Cieżar miłości.

Ta miłość mnie oszukała, ona: za wielki ciężar,
Ja serce mam poety, ja nie mam ramion męża,
Nie mogę nieść tej miłości, ta miłość mi ciąży, nie krzepi,
Ręce mi w gęstą lawę oddechu wiąże i szczepi,
Rzucam się w ścianę węzłowia, mózgiem ten zabór bodę,
Upijam się pustem pragnieniem, nasycam się watą i głodem.

Zabieram codziennie do siebie płonący las twoich wyznań,
Wyciskam film twoich nachyleń na marzeń moich bliznach,
Twoje zaczajenie każde wykuwam z mojego mózgu w posąg,
Lasem się szczelnym zaqubiam: twarzami twych ruchów i głosu.

Zagarnia mnie i obejmą leniwość łąki i siana,
Duszna mnie noc zanurza w swoich ciemnych ranach,
Pod ciężar jej ciasny wpycham się chyłkiem i płaskim leżę
krzyżem,
Spalona noc językiem wilgotnym od stóp do głowy mnie liże,
Strach się mój słuchem przyległym i zwrokiem czajonym jeży:
Mam morze w obu dłoniach i nie mam w dłoniach wybrzeży.

Lecz, kiedy przychodzę do ciebie i gdy nad tobą się pochylam,
Gnie mnie ku tobie mocna, ogromna, bezwładna chwila.
Obwisłe mi ręce stygną, plecy wrastają w foremne powietrze,
Moc mi rozpina nozdrza, w oczy się wpycha przestrzeń,
Jestem nad tobą, jak niepodparte niebo:
Ach! zamruż swoje powieki, oczom potrzeba pogrzebu.

Zagasa światło i barwa. Nie trzeba ruchu. Głos w zapach przechodzi, wzrok w dotyk woni.

Trzymam cię całą w rękach. Jesteś od dłoni do dłoni.

Świat cały jest tylko w moich zdumionych ramionach.

Ważnego nie ma nic więcej. I nieskończoność jest teraz skończona,

Jak prężna ta pusta przestrzeń, jak silnie się równoważy

Odległość między twą piersią, upałem mojej twarzy!

Nielitościwe są mięśnie, tak bolą i tak są ciasne -

Jak niepodparte niebo — w oddechu ciebie gasnę.

Piach godzin zgniecionych przecieka wciąż w namul.

Sypiącej się deltą otwartą życia leniwej nocy,

Aż nagle spostrzegam w tej dziwnej melodji

Twe czarnem zapachem gorejące oczy.

O miłości.

Dziś podpatrzyłem me dłonie, jak biodra twoje myliły
oszustw powiędłem liściem
I zaciążyło mi nagle ust zagojonych udanie
i pogodzenie się pięści.

Przeniosłem twarz na poduszkę i odsunięte usta
nie zapaliły się raną,
Patrzyłem na róż paznokci cofniętych twych rąk i wspartych
na przytulonych kolanach

Przestałaś być nagle grzesznicą w lin ciasnych pręgi opiętą,
paloną na oczu mych stosie,
Przestałaś być woni pożarem, ogrodem róż, rezed, wiosną
w zoranych skibach i rosie.

Przestał obejmować twe ciało płomień oddechu mej skóry
i rozkrzyczana boleść,
Wyczekująca twych dłoni, by, jak gałęzie drzew, wkwitły
w krwi mej zdyszanej pole.

Choć długie ręce uśmiechów zaczęły ze słów odległych
próżnych, pojętno — prostych
Budować machinalnie na nieruchomych chwilach
myłące nas pomosty.

Choć oczy twoje po raz pierwszy pojęły sens mój cierpliwy
i nagle przestały drzemać,
Kurczę się u stóp twoich i widzę spokojną prawdę:
miłości Ciebie - już nie mam!

Usprawiedliwienie.

Oczy mi moje wykradły ból z trzewi
I w białe bandażę mózgu związały moje gniewy,
Jak zatopione Polesie mam moje serce,
Dnie je muskają, jak mewy.

Nie rozrośnie się więcej ciało moje lasem,
Ni krew mi śpiewać będzie w rąk żyłach;
Przystałem być dawno już sercem ojczyzny,
Po stromych ścianach globu rozbiegła się siła.

Pączek róży już przestał wwiercać się w oczy krwawym żużlem
Mistyczne klawisze tęsknot nie kamieniują mnie trądem,
Łapczywe dłonie wiosny nie duszą mi szarfą gardła,
Plakatom przestałem zwierzać swe morza i lądy.

Cierpienie ma wielką rozpiętość — ma cudne usta.
I to mnie uwiodło. Oparłem o świata się filar.
Świat wrósł w me plecy i w tynk swój mnie wessał.
Nie umiem się teraz nad tobą pochylać.

Burza nad rzeką.

Grzmot głuchy i burzę najlepiej widzieć w twarzach,
Które nad brzegiem rzeki chylą się gniewnie i cicho.
Nic mnie tak bardzo nie przeraża :
Jak burza grożąca osikom. —

Na krzywym konarze grubej brzozy,
Skośno rosnącej na brzegu stromym rzeki.
Oboje stoimy i, tuląc głowy chłodne, pełni zgrozy,
Patrzymy w toń czarną przez nawpół otwarte powieki.

Czarna powała nieba podpływa pod stojącą wodę
I w nagle ulanem zwierciadle liść każdy się odbija:
Twarze podparte dłońmi pod brodę
Trwają na zgiętych zawieszone szyjach.

I wtedy to widzę te chmury dwie : twe i moje czoło
Białe na czarnem tle i burzę, która Cię dławi,
I boję się drgań serc : liści osik dookoła
Zbladłych, jak popielaty z trwogi ogon pawi.

Sielanka.

Porozwlekaliśmy naszą miłość po brukach, nocach, pod parkany,
Gniewni i zakochani idąc przy sobie: ty ukochana i ja twój
ukochany.

Spotkaniom trwożnym sobie i światu nieufnym daliśmy całe życie
Grzaliśmy sobą wieczory, zaułki, chłód, smutek, samotność i ulice,
Zgubiliśmy swą miłość na rzeczach drobnych i nieopatrnych
zdarzeniach,

Na nikłych uśmiechach, na zakochaniu pełnym gniewu i znie-
chęcenia.

Szliśmy leniwo po tymczasowych brukach, obok zamkniętej nocy,
Na zwrok swój kładąc dłonie i dłoniom zdumione kradnąc oczy,
Tyle hojności, tyle czasu, taka powolność w zmianach,

Jakbyśmy mieli żyć wieczność, a światem całym była ty ukochana!
Każdy fałd ruchu twego zakwitał w jasność zupełną, we fale i upał,
Cały horyzont w oczy oparte o siebie wzajem układał się i skupiał
Lecz w tem zaczarowaniu, wielkiem bogactwie, w tej opętanej
magji,

Przecie swe szeptać imiona brakło nam zawsze odwagi.

Ciągle ten niecierpliwy niepokój twe kroki bojaźnią opiał,
Wszędzie sądziłaś, że twoje szczęście rabują, szukają i tropią,
Myślałaś, że świat to wie, że zgadł to nagle, że wreszcie przeczuł,
Że całe szczęście dla dwoje nas tylko ma ten olbrzymi wieczór,
Że sto złych nas oczu znajdzie, oświetli, wypchnie na światło,
Że zedrą z nas miłość jak suknię - i wtedy już wszystko
przepadło.

A przecie czemu to szczęście? Idziemy obok siebie wtuleni
w kołnierze:

„Niech pan mnie weźmie pod ramię“! i pan pod ramię cię
bierze.

I więcej nic. Wiem, wymyślałaś tą prośbę przez cały dzień
dzisiejszy,

Czy myślisz, że to nam miłość ukoi, że ją w zgryzotach umniejszysz?

Więc znowu ja zwierzam się tobie z mych całodziennych marzeń:

„Czy mogę kropelki deszczu zetrzeć z ziąbniętej twojej twarzy?“

I cichniemy na długo z zawrotem serca i z omdleniem głowy,

Że w naszej miłości odważni jesteśmy i bardzo pomyślowi!

Latarnia ostatnia, deski parkanu i koniec zaułków.

„Nie można iść dalej. Już późno? Wrócimy raz jeszcze w kółko.“

Nie! oprę twe plecy o chłód żelaznej latarni. Z pod cienia
kapelusza

Patrzę na ciebie przy mnie stojącą. Wiatr ciemne twe oczy
porusza.

Wyciągam dłonie, byś łokcie nań wsparła. Bo gdzie indziej?

Niema nigdzie podpory dla ciebie. Te jedne czekają cię wszędzie!

I pochyliłaś twarz dłońmi światła tak nagle odsłoniętą,

Gorzkiego żalu i utęsknienia owiane podajesz swe usta miętą!

Jak warto było tyle nam błędzić! Tyle przemilczeć! Tak dłu-
go w siebie nie patrzeć!

Tyle rozpocząć rozmów! Wątpić! Tyle zabijać pomysłów, dja-
logów, zapatrzeń!

Tak długo drzeć w tunelu, by wejść w tęcz czarną wieczoru
łunę

I zamknąć ten śmieszny patos w wązki, króciutki i nikły
pocałunek!

Tak! to był czas, gdy szczęście nasze było tysiąc razy od nas
większe,

Gdyśmy lękali się go, i bali się jego upiększeń,
Gdy nie umiałem go nazwać, ni pisać o niem, ni o niem śpiewać,
Gdy ono o nas szumiało samo, jak rozśpiewane drzewa!
Nie trzeba go było wymyślać, budować z żadnych cegieł,
Toczyło się samo lawą, nocą, powietrzem, lawiną i śniegiem.
Szliliśmy przy sobie, dźwigając osobni ogromnej słodyczy
gorzki tobół,

Najbliżsi siebie i przerażeni chwilą i zastraszeni sobą.
Wrastając oboje w jeden i ten sam splątany i niepojęty monolog,
Nielitowaliśmy się nad tem, że serce i zmysły tak samo i to
samo nas bolał.

Nie wiedząc, że mimo tylu uciszeń, zaczajeń i niedopowiedzeń,
Mamy o sobie pełną, wzajemną i najdoskonalszą wiedzę.

A przecie dziś, gdy życie mi huczy, jak morze, co miazdży
dłonie plaży,

To ciche wspomnienie Ciebie przycisza je i równoważy.
I napór krzyków tłumu, co krzyczy głodem, rozpaczą i smutkiem,
Nie może zabić mi Ciebie: odległej - zgubionej - malutkiej.
Twój cichy szloch, Ciebie na ławce parku gdzieś opuszczonej,
Spina mi zwrok mój rozbiegły na wszystkie świata strony,
Wplątałem się w blaski, barwy, we wiry spojrzeń, zasłuchań
i krzyków,

Wypląnałem, jak topiel w burzliwe powietrze ziemi,
A jednak w tej mowie niezmiernej słuchu, wzroku i dotyku,
Dłonie me ciągle błędzą za twemi dłońmi małemi!

Listopad.

Kiedy pisałem list o jesieni
Najbardziej krzyczał o sobie listopad,
Szedł chmurą szumu, złota i cieni,
Bronzowe sandały miał na stopach.

Lecz kiedy przeszły dni i krzyki nikły,
Patrzyłem na martwy miesiąc, jak na paletę owalną;
Dnie, lśniąc matowo, zastygły
Farbą olejną, gęstą i realną. —

Oparty o pnie chropawe drzew, które ochłodził
Cień nikły zachodu melodją chorą,
Maczałem dłonie w miskach nastroju godzin,
Które dzień stawiał na kraju wieczoru.

Może dlatego wydaje ci się drogą wilgotną
Tych malowanych słów mych gra,
Wijąca się falistym wzgórzem bez powrotu,
A którą pochłania łagodnie mgła.

Może dlatego wydają ci się w tym czasie dzieje świata
Czarnemi gałęzmi uschniętej gruszy,
Popuchłej w czarnych bukietach i płatach
Od grzbietu wron, któremi dzień drzewa opruszył.

Może dlatego tak łatwo wmówić w ciebie,
 Że refleksje o naszej miłości są tak piękne,
Jak opadanie kasztanu liści pogrzebem,
Przed którym cicho nawet wiatr przyklęknie.

To porównanie zatrzyma pochyle spojrzenia
 Tych, którzy kochali za dużo.
Ci, chodząc samotni, po pustych pokojach i sieniach,
Te strofy moje, żując swe myśli, pocichu powtórzą.

Stożki suchego powietrza.

Lubię, jak gruby leniwy żuk wyleźć z konstrukcyj ulic
I po tej pranej oddechem słońca pół chuście leżę lubię,
Mózg mi zalewa serce i oczy mi bławo czuli,
Po gardło mnie topi w swym lepie wonny, dyszący łubin.

Gorąc się wlecze za mną, jak pies i nogi mi płacze,
A blaski światła pędzą, jak sto na filmach koni,
W usta mi pięść swą wpycha dym dali mdlejący,
Na gęstych lawach zapachów opieram płynące dłonie.

Ten świat włóczęgi ssam, jak słodki i mdławny cukierek,
Gryzę, jak sypki chrust : minuty mrące. Pieszczę, jak gładki owal;
Tą podróż. Palce mi w oczy wpina więdnąca zieleń,
Otula mnie ciasnem ramieniem woń duszna, piołunowa.

Układam wtedy wiersze. I w samo ogromne, baniaste południe,
Jak baki, błędzące w wielkiem ziewaniu lip śpiących nad miedzą
W ciele potwornych psalmów, na kruchych łożyskach sensu
siedzą:

Słowa : nie myślę - nie widzę - nie słyszę. Jest słodko i nudnie,

Tak! chcę na wznak leżeć na rdzawych rżyskach bezwładnego
pola

I żuć szczyty miłośnie nad usty wiszących, stożków suchego
powietrza.

Jutro: w mieście: na obłych nogach stał będę w krzyczących
rzeczach

I, jak papieros, palił będę sens dzisiejszej roli.

Pochwała podróży.

Podróżą konkretną, zgiętą w parabolę
Piszę swój najpiękniejszy wiersz co rok - mój żywot.
Na dłoniach niosę ten sam ciągle tytuł,
Dodając nową zwrotkę gorliwie - leniwą.

Czemu nie klaskasz mi mój przyjacielu,
Czy ci się nie podoba ten mój śmieszny taniec,
Ten posuwisty szum oczu rytmicznych,
To stóp ustami globu całowanie ?

Ach ! nie wiesz, jak co noc ten rym wciąż mnie kusi,
Jak stopy po nocach glob mi łechta,
W oczy mi sypie swe morza i lądy
I znużone tęsknoty budzi w takich szeptach:

„ Nie zbileś życia w bulwę i bolesnem ziarnem
Nie wpinasz go chciwie w mą cierpiącą miazgę,
Jak ruch i blachę rozkułeś nieważne swe życie,
Galwanostegją srebrną uczyni ze mnie gwiazdę.

Włóż obie dłonie w wodę święconą powietrza,
I złocistych błyskawic przeżegnaj się burzą,
A gdy się noc gwiazd złotych naje i pobladnie,
Zacznij nowy wiersz życia swą nową podróżą !

Naucz się oddech płuc mieć łatwym i lekkim puls serca
I naucz się huśtać na krążkach zmiennych widnokręgów,
Powoli rozpleciesz ty także zawikłość istnienia
I przepasziesz podróżą się, jak lśniąca wstęgą.

Podróż jest łzą gorącą rozkrwawionej róży. —
Po schorowanej upałem mej twarzy,
Naciera szlaki biegiem cieniutkiem i znika —
Lecz zostanie dotknięcie, co rzeźwi i parzy—“

Tak prosi mnie glob i mapy pcha w powieki
I planów próbuje na wadze wskazówek kompasu.
Jak motyl olśniony wykluwam się ze snu poczwarki
I pomysłem nowej podróży wchodzę, jak do lasu.—

Pociąg.

Stał —

Wtem :

w dwusylabowym akcencie twardy i suchy ton warg
zaczął monolog płuć - sam sobie urągał —
wydmuchał ze siebie krępe — tłuste race

pchnął

wprzód

tułów

oddechem powolnym płuc pożegnał bladą stację.

— Dwoma ślepiami noc bez zmarszczek rozciął

i wybił szramę rozpękł ku parnym jej wnętrznościom -

- ożyły korowód sześcianów włókł — włókł

krzyk brył wagonów biegł - biegł - biegł

w strachu —

dłoń wplótł w dłoń pocierpłych platform - skulonych dachów

rozemknął paszcze czas - skrzyń

bez wiek—

przesła dymu przerzucił na nagość apostrof szalonych krwawo

-złotych

biegnących w tytule

dwu lokomotyw.

Wyjazd.

Melodyjnością jest równoważną
I kołyszącą się w takcie: łaskawość młodego Uśmiechu :
Wyjazd w ojczyznę Pogan — step,
W orszaku nagich dni, maszerujących twardo w szeregu.

Gdy się zapomni odciętych dłoni, więdnących w upale kamieni
I gdy się rozczesze brązowe ścieżki,
Nie będziesz rzucał słów w las tajemnic, jak strzał
I na arkanach pytań chwycił zdziwień tej ucieczki.

Pomysł mały, samotny, jak blady krążek, leżał na drodze.
Ten ci wybuchnął tarczą, na której wydzwonisz sto przygód
Godziny, jak szczekanie psa,
Będą ostre i głodne w serdecznym krzyku.

Pierwszy sakrament : skoczyć w chrzcielnicę traw
I wlec się, dysząc, pod duszną powietrza podeszwą.
Kroki twe - rude spalenizny - plamy palą w trudny splot
I ręką bliznę zastęglą i przeszlą.

Oczy zdarzeń, utopione w upale niezręcznym stepu
— — — — Kochaj !

I z pnia wspaniałej podróży wiele ci trza łupać słów - drzazg
I lepić ciało Odyssej w stężonych sokach.

Kiedy już porozwlekasz kule dni srebrnych
Po płaskiej, dudniącej wyżynie
I drzewa wysokie przerażeń zapalisz pożarem do stropu,
Ach — tylko nie zakończ biegu w zgięty wodospad
I z ukochanego nie zjedź w przepaść globu - !

Przerażające i niepotrzebne jest twarzy w kosmos nachylenie
Drogi gwiazd grzaskie są i stopy nie oprzesz tam twardo,
Tam nie przytulisz do gruzu warg
I rozpylone powietrze : haustem nie wchłoniesz w głodne gardło.

Położ gorące dłonie, zamknięte w pięści
Na śmiałych planach twych i bladych mapach,
Jak gęsty cień niewolę planety naszej wlec,
Ty Dotykalnego Poganin Świata.

Upał.

Rtęć natrętnie w rurce wspina się po szczeblach stopni,
Upadł upał opuchły - gorąco jest ogromnie.
W powietrzu jest łyskliwy - strwożony swą ciszą fiolet.
W rozpacz drga atomami - napina pasami nagie pole.
Na słońcu potarganem wędzną pagóry wydęte - ogromne.
Jak fale się przesuwają idące stępy zapomnień.
Słyszę i widzę : jest nieustanny krągłych globów pokój
I krwi tężenie w bestjach i w kruchych gałęziach soku.
Wąziutka jest świadomość, jak szkarpa gzymsu nad przepaścią.
Wyciska ktoś wilgoć z ciała ciasną cisnącą garścią.
Upał jest grubym kadłubem pnia i uwiązana do stóp kłoda,
Czepia się twych sandałów i ziele wyraz - wodo - wodo - wodo-
Na wydmie pustyni usiadłszy w kucki w żółtawym szlafroku,
Wyszczersza kły białe, lśniące, silne,- gotuje się do nagłego skoku.
Patrzy białkami popryskanemi w cieniutkie gałązki i rude żyłki,
W mózg twój pakuje motyle, klei powieki, podszedłszy chyłkiem
Płamami blademi cię policzkuje, wypieki na czole kreśli,
Jak liście rzuca na ciebie zdławione weschnienia i myśli.
Pomysły spią na brzuchu z długą czerwoną szyją,
Minuty są wysokie - pełzną jak powoź po zeszlým kiju.
Przyszedł wysmukły szept i w rurki otwarte mych uszu
Zielone, zimne słowa wkładał dwoma zimnemi palcami:
„ Słuchaj - słuchaj; te macki spiekoty Boga udławiają - uduszą -
Umrze ! - słuchaj - słuchaj - ;

będziemy sami !

Zielone lasy na mapach.

Bliżej:

Patrzę i widzę zielone sińce na bladych twarzach-mapach
I czuję wezbranej sokiem żyły pod ich skórą zapach.

Bliżej:

Seledynowej plamy na skórze ziemi głaszczę aksamit
I słyszę skok elastyczny słońca prawdziwej bani.

Bliżej:

Zwolna horyzontzgarbiony przechodząc w ugiętych rytmach
Wyciska w powietrzu sylwetę świerków w gotycki stygmat.

Bliżej:

W stężonych soplach miazgi mokrej zieleni młodej
Żywe ramiona trwają na grubych barkach jodeł.

Teraz:

Szklistych kuleczek rosy się bojąc i zadziór szyszek sosen
W igliwie wilgotne wszedłem krępy, samotny i bosy.

Dalej:

W tej sali stokolumnowej proporcje pokłękły w paprociach
Ktoś pióropuszem pręgał w nazwy je leśne odział.

Dalej:

Igły świerków wybuchły dach komet zielonych tworząc,
Przez nieuwagę mnie gubią w kartograficznym morzu.

Dalej:

I zwolna z wklęsłego mózgu lasu na kotła krawędź
Pną się tylko języki kosmate, szyszki sinawo krwawe.

Dalej:

I świetny blask realizmu, sztywna konkretność ciszy
Już nie wyświetlą mnie nigdy z mapy matowej kliszy.

Teraz:

Patrzac w swą mapę w sińcach zielonych w rysunku
przejrzystą

Nic nie wiesz o mojej zagubie, Nowy Odważny Turysto.

Lepienie w plasteline.

Ugiąwszy rękawy po łokcie, jak ciało najdroższej postaci
Pieści gorące piersi srebrnej triangulacji,
Widzi rośnięcie zdrowe spłaszczonej kartografii ;
Zagniecie, umięsi, stężeje ; on wszystko robi, potrafi.
Bulwy twardego iku polepi, przytuli, pospina ;
W dłoniach żylastych posłuszna i bierna dla niego jest glina.
Odlupie kawały błota, strupy, skorupę, płaty,
Otworzy ustami do góry bez wieka odwrotny negatyw.
Pod dłonią poczuje zrodzony i tłusty kadłub Pienin
Wilgotny, pachnący, spowity w szatę zaklętych cieni.
Palcami kręgi wymaca, wypukli na tłustym grzbiecie,
Piersi żebrami szraf ściśnie, upnie, przydusi, ugniecie,
Gdy potrzaskane drzazgi skał już nawbija wszędzie,
Bury mi cieniami przepaści zaznaczy strzępiaste krawędzie,
W zastygłej bryle szarej, w zrównoważonym ciężarze
Wyryje ciasne wąwozy, muszle pieczary wyważy.
Na wypęczniałych gruzach wąskie wylupie szkarpy,
Na liściach płaszczyzny stawów siwe rozgniecie farby.
Weźmie gruby, stolarski miękki ołówek niebieski,
Pociągnie od wapna lodów kręte strumyków kreski,
Pochyłe i białe gipsem zeschnięgo stoku twarze
Zimną mazią zieleni pokropi i gęsto pomaze.
Na pamięć odstępów wymyśli, wykreśli, pomierzy, policzy
Początek powiąże z końcem cieniutkiem jak drucik warstwicy.
Fałdy ułoży wydęte, zmarszczkę, wyciśnie wychudłą,
Paznokciem rozpruje skórę : wywiedzie drgające źródło,
Zgniecione sześciany domów zgrupuje, rozstawi, rozrzuci,
Tytułem wieś kruchą zlepi, nazwie : Jazowsko, Bogucin . . .

Gdy mu ta praca wyschnie, ożyje, latem rozetni
Gdy się w bochen pagórów i w step się hał wyogromni :
W plecak parę ziemniaków i kromkę chleba spakuje skrzętnie
I szary maleńki włóczęga powlecze się jaknajskromniej.

Sposób podróżowania.

Najlepiej utrzymać w oczach przestrzeń
I dłońmi wzroku okolic horyzontu brzegi
Nie wiersza zadyszczanym spiesząc się biegiem,
Lecz wlokąc się starej prozy
Wolno jadącym wozem.

Najlepiej widnokrąg z światła wyrąbawszy koła,
Zamiast owijać sercem i brać na pamięci plecy,
Ostrożnie układać, jak szkło, obok wiezionych rzeczy
I wieść je na wozie; okrągły kołacz.

Najlepiej jest wrócić z podróży
I zamiast zwalać z bark tobół
Przesyconych pośpiechem przeżytych znużeń,
Zbitych w wilgotną bułę;
Obiema dłońmi osuszonymi mózgiem i sobą
Układać na stole zdobycze płaskie
Zdjęte z podłóg i drabin wozu:
Nie pieszy robotnik, ale woźnica włóczęg
Prozy pełnej łaski.

Zabieram wszystkie kształty,
Umiejętnie je czyszcząc z pasożytów-barwy;
Więc łąkę—z zielonej skóry, niebo - z różowej i sinej.—
Znam tylko nieckę olbrzymią doliny Podola

Wciśniętą w strome, chropawe wzgórz brzegi —
I cieńki drut rzeki zepsutej —sprężyny,
Pociętej w kawałki, więzy i półkola,
Opadłe w dół sprężonym ściegiem.

Wyjmuję ze złotych ściernisk łuk nieruchomy wiaduktu : dłoń
drogi,

W którym nic niema rdzy ni pleśni słupów :
Są gęste żebra i mocno wzrosłe filarów nogi.
Biorę wzrokiem pociągłym najlepszy szczegół łupu :
Prosty, obcisły, głęboki ton i cichy,
Który uniknął węzłów i niedbałości lichej :
Dwie umiejętnie położone szyny.

I nagle zdumiony serca niedoborem
Naoślep biegnę torem !

Zachód słońca w górach.

Wspaniałość nigdy nie jest jaskrawa
I profil jej nie krzyczy ostrzem i konturem,
Kiedy znudziła mnie radość i sława
Patrzyłem wieczorem na góry.

Siwo wycięte szczyty i zęby,
Gdy gryzą purpurę gęstą i gorącą,
Płyn żywy ścieka przez grzbiety i zręby
Wnętrze wybucha słońca.

Nie lubię takiego zachodu,
Lecz także nie zwiedzie zachwytu
Seledynowo ślniąca tafla z lodu
Graniastość chmur i szczytów.

Najlepiej kiedy w jesieni,
Leżąc wznak, patrzę skórą twarzy,
Czuły na grubość tła i cieni,
Zraniony cały od marzeń.

Wzrokiem dotykam łagodnych powierzchni
Haftu, który jest gładki i płaski,
Smakuję barwę suchej pleśni:
Na szybach ze szronu obrazki.

Śledzę spłoszony skok płaszczyzn białych,
Który już wczoraj zastygł,
Węszą wątki naświetleń ślady :
Milczenie chmur drzewiastych.

Jest znieruchomienie globu i wysokości
I cisza, która już nic nie opowie,
Wzrok barwy wszystkie stał i uprościł,
Patrzy przez obłok powiek.

Wtedy jest groźna wspaniałość ;
Niebo, góry i zachwyt są głuchą blachą ;
Życie nie tylko słońca i dnia ustało ;
Jest świata i życia mego zachód.

Śmierć wędrowca.

Rozstawię lasy poza sobą w zasluchanem, gęstem, żałobnem
zsunięciu się :

kiedy - pòjdę - pięćset - kroków - naprzód.

Misy jezior położę pod umycie rąk :

kiedy - pòjdę - pięćset - kroków - naprzód.

Znużone nogi włóczęgą zostawię zakopane w trzęsawiskach :

kiedy - pòjdę - pięćset - kroków - naprzód,

Do czerpaka dłoni stulonych nabiorę tłustego słońca i nasma-
ruję skórę pachnąco:

kiedy - pòjdę - pięćset - kroków - naprzód.

Owinę się w halę, jak w chustę i zgubię się w fałdach traw :

kiedy - pòjdę - pięćset - kroków - naprzód.

I wtedy :

dzieje moje zgarnę w dłoń, jak garść żdźbeł wyspranych
w lipcu i położę na sercu —

I wtedy :

niewidzialnemi ustami antyfon mych doić będę Boga, jak
cielę krowę mleczną—

a :

po płaszczyźnie mojego grobu pozwolę skakać pasikonikom
tłustym i rozbiedz się po wszystkie strony :

o pięćset - kroków - naprzód.

Drzewo.

Niech rzeczy mą skórę jak powiekę podraż,
By mięso było olbrzymią źrenicą :
Nią całą będę obejmiał mą podróż.

Nie jest potrzebne to odzienie zwierzchnie,
Niech cały się aż do krwi ocieram
O kanty rzeczy, chropawe powierzchnie.

Krew jest zazdrości zielonem mlekiem,
Ona dyktuje ten każdy kierunek,
Ten ruch leniwy i ten bieg daleki.

Ona mnie wiąże, jak dźwięk na strunie
I każe nowe dogrywać oktawy
I miejsce każde rzucać zaraz dumnie.

Przechodzę raz w światłach, raz w cieniach
I nie znam nigdy ostatniej melodji,
A dal nie mówi mi swego imienia.

I podróż moja jest jak zapach róży.
I jak jej pożar w pożarze słońca
Jest na nic. Jest dla podróży.

I to jest to słodkie bolu oszukanie
Ta pauza szalona w trudnej szkole:
Wciąż nowe powietrze pudruje mi ranę.

Lecz kiedyś wrosnę w glinę gruntu
Zagaszę oczy i zakopię nogi
I własnym zbuntuję się buntom.

Bo tylko korzeniem rośnie się najwięcej
I chwyta światło i wiąże powietrze
Drzewo, co mocne ma gałęzie - ręce.

ILUSTROWANY
KURIER CODZIENNY
KRAKÓW

Tak kusi Bóg 80-letnich starców.

Na grubych karkach aniołów ustawię dębowe stoły,
Obciążę je tłustą, leniwą słodyczą dojrzałych owoców,
Gdy oniemiałym ruchem i białym głosem zawołam,
Na ławach usiadłszy pękających, nie zapytacie mnie : poco ?

Módlcie się społem drewnianem mručeniem i skandem,
Grubym językiem słowa składajcie w hymn ciężki,
Wchodźcie śmiertelną furtą w letnie, wieczorne sady,
Martwym szelestem depcząc zwycięstwa swe kruche i klęski.

Jak garnki gliniane rozbijcie czerepy lat waszych starych,
Ten klekot i stuk ten dyktat wam łatwy podróży wydepce,
Dłonią pogłaska bruzdy żółtych i zeschłych twarzy,
Uśpi was tępym marszem muzyka rozklekotanych kierpcy.

We włosy wasze kudłate blaszki powplątam wam światła,
Oprawię wam serca zmurszałe w szklane i ciasne pochwy,
Z ócz zwiędłych wysypię spojrzenia, matowe i zbladłe,
Jak pasterz powiodę was : stado mych świętych zgrzybiałych
i płowych.

Wejście w piach sypki murawy obłoków, jak w oniemiałe sidła
Z uszu wywleczenie strzęp martwy pukania śmierci w szybę,
Na łup chcę waszym wargom jaknajprędzej wydać
Słodkie symbole baranka, opłatka i ryby.

Już nikt nie zgadnie, czy pękły wam szpary wąskie w upału
posusze,

Czy ciężar wiatru rozerwał wam usta i w dwa płatki rozciął,
Czy moje palce rozpięły wam wargi, by wyjąć z gardła duszę
I dziąsła bezzębne znów zlepić spleśniałą od trzech dni hostją.

Poeta romantyczny.

Ja jestem rzeźbiarz, ja lepię w słów glinie, ja rzeźbię portale,
Ja jestem wichur, ja wieję słowa jak liście, huragan słów rzu-
cam przez hale,
Ja wbijam Siegfrieda miecz w słów grzbiety, schylone żyły-ja
Tronje !

Ja piję krew z serc, ja kraję mózgi, serce mi krzyczy, mózg płonie.
Ja budowałem bramy, wwiercałem kolumny, wbijałem mury,
Na tarczach przydechów chodziłem, przeżyłem w drgający sznur
rytm,

Ja - ja piersiami tłukę wiązania strof, akcentów kraty
Ja patrzę w horyzont, rzeczy sensu ciężkie rozdarłszy brokaty

W maleńkie dwuwiersze, jak w ciasne framugi katakumb,
Zasiewam krzykliwy patos, a drobne ziarenka maku
Sadzę na płatach pustyni. Wśród twardych mocowań
Ognistą puszcza mi rosną w eposach i drzewach - słowa.
A! oddech powietrza ścina się na rzecz stałą,
A! blask słońca płynie lawą dymiącą i białą,
Po krwawem mięsie epopej orzę krwawiące bruzdy i blizny,
Ja jestem miljon, ja jestem sercem, kresem i jedynością ojczyzny.

Ja dnie mojego życia, jak psy rozpuszczam po stepie,
Me oczy krzyczą mi piekła żaru i krzyczą do oślepień,
Me lata mi wyją i gryzą szmaty wiejących chorągwi,
Boga za włosy chwycę, sercem zabiję, jak drągiem.

Ody me! z wnętrzości ziemi was wyrwę, z pod serca świata
was wyjmę,

Ociekające krwi sokiem, bezwłose i czerwonoszyjne,
Rękami nagiemi wyszarpię życiu, oślizgłe w brudnym skrzepie,
I nagie, bezbronne postawię na białym, błyszczącym stepie.

Rozpruwam skórę poezji, jak sferę dyszącą kosmosu;
Poza widnokrąg wychodzę świata w rzeczy konkretnych głosy,
Aż zadyszany opieram plecy me o futryny wieczności okien,
I słyszę mych kroków niedoszłych po Życiu dudnienie głębokie,
Ach - mam patos i moc! Obrąbię globy, ociosam,
Rozepnę wirem dróg mlecznych wydęte niebiosy.
Wyrąbię schody w eterze czarnym, jak w złomach malachitu,
Zapalę bluźnierczy, parzący i fioletowy Mój Tytuł!

I cóż? mury mych zdziwień spróchnieją, ściany się zczernią,
spalą,

Ramiona szeroko otwartej bramy zostaną na ruinach,
Stanę czerwoną sylwetą w sterczącym na gruzach portalu
I przestraszony heretyk przeżegnam się: w imię Ojca i Syna . . .!

Heraklit.

Jest z płową, rozwianą, ognistą grzywą
Heraklinowy żywot.

Widzę:

Jest ogień płonący i zawsze płynąca rzeka
I są otwarte na wieczność podwoje,
W nich stoi:

„Boski na lud szczekacz“

Tacy powstają i obudzeni, gdy wśród nas wstępują,

To są strażami umarłych i żywych.

Tacy zakłęte mają wargi, od mocy są krzywi.

Tacy, gdy znajdują się w pustyni,

Tak czynią jak Bóg czyni

tworzą:

Panują ogniom, powietrzu i morzom i lądom.

Męczącym jest pracować na pokarm dla Fatum,

Męczącym jest gadać kazania sto grubym światom,

Lecz on się nigdy nie znudził.

W rydwan zaprzęgał wciąż: nadmiar i brak,

Codziennie się trudził:

Przeczył: nie, twierdził; tak.

Życie jest łukiem:

Więc kładł dnie swoje, kładł tygodnie

Na naprężonej cięciwie -

W to oszalałe blade błonie,

W te oszalałe pustynie

Ciskał!

Spłonęły wszystkie, rozpękle, strzeliste, olbrzymie ogniska.—

Zgarnia rozpacz, zgarnia rozpiekłe bóle

Na tą ogromną rudą kulę -

Dłonią drgającą, gorącą, mściwą

Poczwórny wiąże żywioł ;

Lepi, uciska, ugniata

Rozlałe ciało świata.

Pod dłonią mu ognie rosną

W ogromny dyszący kosmos.

Ogień mre i w dół ciężarem opada,

Topnieje w lepkie morze

Stygnie w gruz szary. -

Tak włada :

Płasko - szerokiem nożem

Kraje rów deszczom i szparę,

Staje się rudo wyjąca posucha

I las błyskawic

bucha —

Jutro na płachty dymu się podrze

Już zamarzłego świata mapa,

Węszącym bogom zatka nozdrze,

zdławi,

I dusze w Hadesie poczują zapach.

On, zbudowawszy, sam przebiega

Od świata alfa do świata omega —

(Ogromna steruje błyskawica) —

Po drodze robi szramy w niebie i złe zygzaki zaświeca

On prętami bije zły chaos i zamęt,

Drabinę opiera o firmament

I gdy od wschodu do końca powietrza jest rozziw,

Wbijają w szkło młotem blade wypukłe gwiazdy - gwoździe

I wiesza tarczę w suchym pożarze.

Schodzi.

Ziemia jest twardą.

Na płaskim wielkim stepie : lud lepi !

Ze wzdardą :

Stojącym obok bogom ogień żreć każe
I w dłonie szerokie klaskać.

Sam w piersi rozdęte bierze

Suchy, najlepszy, krótki blask !
a !

Tu przeczekawszy wielką ciszę,

Tak prawo pisze :

Niech będzie pracowite sporu wciąż, władanie

Dziwne raz zapalanie i znów zagaszanie,

Raz się światy rozświecą i znowu pogasną.

Znowu będzie przestrono i znów będzie ciasno.

Tłum nieśmiertelny niech tłum mrący karmi.

Czuć bogów spalenizną i wszyscy są czarni !

Ty nie krzycz : biada !

Czas twe milczenie, czas twe krzyki

jednakowo kocha

I jak chłopiec kamyki

tak swe zabawki układa — — —

Sam gdy ma lat sto, to idzie na step i piasek,

Obżartej jak bydło masy

Nie tnie batem, nie łaje, nie nagli -

Tam je korzonki i pości

Tam żyje, jak najprościej -

Ha ! ma znowu wszystkie dni — strzały rzucone daremnie

I w serce je wbije - - -

Lecz czyje ?

Ciemny filozof — Heraklit.

Tancerka.

Gdy ja się męczę nad słowem, w dłoniach je niosę na stopień
wiersza,
Ty już w tym czasie poemat kujesz z czego? z powietrza!
Bijesz płomienie lamp, woni, ciszy w oślepiającą pianę,
My przylegamy do szklanki tej oczyma. Jesteśmy pijani.
Szyję oczu nam dławią gonitwy twe w kłębach i splotach;
W oddechu słuchu nam szumią gałęzie twoich omotań.
Ty rozrąbana na tysiąc siebie po wszystkich kątach sali—
Twą wielką rozpustę melodji stóp garść czyja wzroku zcali?—
Ale ty sama zbijesz w marmur twe włókna - wygnieciesz
wśrodku framugę

I staniesz owal konkretny, nagi, w uśmiechów zimnych łuku.

Ten glob nie jest gwiazdą ognistą
Glob piłką jest z gutaperki;
Tak—ten świat zbawi nie Chrystus,
Ten świat odkupi ofiara tancerki!

Wybiegniesz na place, boiska, step, pustynię, gobi,
Chropawość podłóg się spłoszy, przyczai się płasko ocean,
W cieniutkie tętnice skórę globu twa nóżka położy.

Napiszesz plan świata: ty jedna!

Twa nóżka drobna

Wleczę przecie za sobą taki ruchów labirynt!
Ruch zaś twój jest gmach, ruch—rzecz osobna,
Konstrukcja opięta w sznurowadła wiry.

Zbudujesz ten dom z kolumn - włosów, zwiążesz,
W kapitel cykle śladów rytých —
Z trudem i bólem, wzrokiem wyprutym z oczu za twą budowę
dążę,

W ślepe się pauzy palą dla mnie tych altów szczyty.
Widzę ciosany w bezbarwnym powietrzu gotyk
I widzę zastygłych nitek chodu sieć tkanin,
Wsuwam me usta i ręce w jedwab tej pieśniedy
Umieram kościołem pajęczyn twoich oplątany.
O - ten fajerwerk koronki, pasożyt wiotki rokoko,
Żal będzie zdeptać brutalnych żołnierzy ciężącym krokom,
Ciężka i wielka, jak Azja, złej rewolucji podeszwa olbrzymia
Nad cackiem tem but pochodu : zatrzyma !

Ale czy wiecie, jak męczy się bardzo i ze zmęczenia blednie,
Gdy tańczy nocą i gdy w tańcu biegnie ?
Gdy tańczy po halach świata przez wszystkie komnaty i sienie
Nie piecze, nie grzeje lecz ziąbi cieniutki na twarzy rumieniec.
To nie tętnice serca, nie żary się w usta zbiegły,
To rudy puder zmęczenia, puder z palonej cegły.
Rozpięta na tęczach balów, na redutach
Serce swe własne tańczy, na sercu gra, jak na nutach.
Po twarzy własnej tupie, tupie małemi stopkami,
Zamyka oczy, tańczy, taniec zna cały na pamięć,
I w wrzawie klawiszów, w barw orgji, w przerzutów kłótni,
Gdy pada na usta spieczona zastygła w skoku on-step rozhu-
kanego
Jest coraz jej ciszej, spokojniej, szarzej, coraz smutniej -
Nino! dlaczego ?

Ty jesteś także z tych, co glob ujmują : myślą, dłonią, ruchem
sercem, oczyma

Tancerka ! jak kolumb, podróżny, lotnik, poeta, filozof, marynarz
Koniuszków swych palców plecionką misternych okrażeń
W kułak karny i twardy glob ziemi kolisty ty wiążesz !

Tak ! ten glob już dawno wypadł z dłoni Boga Ojca,
I wytrąciliśmy go z pod stóp Marji,
Pod twoje stopki podsunę go nocą
Tancerko w trykocie czarnym !

Aeroplan.

-- Garść życia wepchana w blaszane zasuwy
I w czako skórzano - rudawe,
Krucza rakieta rzucona w łupinie
Na tło ze zimna i stali,
Eksplozja szalu biegnąca stepem
bez sensu :
bo dokąd ?

To my!

Z dołu nas widzisz;
Na ostry nóż perspektywy nabite drgające skrzepy.
Wzuty w sploty i karby bronzu i owali
Rozkuwszy ramiona swe na ścierple płaty,
Których nie skurczysz już i w pięście nie zamkniesz,
Lecę na żywych ścięgnach
rozpostarty
Krzyż! -

Jakże uczepię się powietrza,
Jakże zaryję się we wichrze
Na skamieniałość w kryształach ?
Jakże się wwikłam i wmotam
We włosy światła i warkocze
Na zawsze i stale ?

Wiem :

Jestem szramą, która nie broczy,
Schnie trwożnie a prędko,
Gaśnie jak cienie—
Urwaną dłonią lot mój—złamaną elipsą,
A spad — omdleniem — :
Bruzdy w chmurach są sypkie
I jak zamknięcie gniewnych po krzyku
warg !.-

Tak :

Wydęty brzuch globu i drżący
Płamką jodyny ucałuję -
Me ukąszenie będzie:
Wryciem się śmig — zdruzgotem żądła
Zgorzeniem — rdzą na skórze sinej
chwila -
Ziemio ! ginę !

Dystychy o kapitanie Skocie.

Nie jesteś Valentino, Gajdarow ! Nie jesteś nawet ładny !
Nie tęsknią za tobą podlotki i nie szaleją panny !

Jesteś brzydki, niezgrabny, źle się ubierasz, szkaradnie się
śmiesz !

Na biegun biegniesz ! Jakie gorące cię serce pędzi ? Twe serce
cię grzeje ?

Twe serce gramem radu ! pożarem ! czerwonym kwiatem !
Tak ! tylko to serce palić na szczycie świata ! palić jak gwiaz-
dę nad światem.

Twe serce najdroższy klejnot ! tak ! to tylko na końcu złożyć ziemi !
W nie południków spiąć linje żądlami tęsknot ostremi !

Któryż glob ma oś cenniejszą, bardziej piekącą, krótszą w sło-
wach ?

Nie Mars ! nie Wenus ! : Ziemia ! pamiętaj ty Słońce ! Terra
Nova !

O kapitanie ! o tobież pisać poemat ? poemat każdy jak lodowiec
Nieprzeżroczystymi słowami—cóż nam o tobie opowie ?

Twój bieg włożony weń przepali go, rozgrzeje, stopi !
Niema dla ciebie ody, nie masz poety na szczycie tej lądu Europie !

Dla ciebie chyba wziąć w dłonie, jak kragłą elegję, całą tą ziemię
I tytuł tylko nadpisać srebrny nad wierszem : twoje krótkie
imię !

Nie umiem.

Nie lubię krwi mojej rozparzyć,
Jak duszny oddech pól łubinowych,
Ani napinać tak mą skórę twarzy,
By gniew wybuchał rozstopionem słowem.

Ręką zdań nie rwię złej mowy, jak słomę,
I w waszej rozpaczcy nurzając, nie rzucam jak nawóz,
Nieba nie pruję sztyletem ni gromem
I nie pcham się czynami mocnemi, jak lawą.

Serce nie umie pod tor się podrzucić
I na oddechach piersi nieść Błękitny Pociąg.
Skóry nie zdarłem, nie trwam w krwawej bucie,
Krzycząc, że mnie *Ich* kułak tak odarł i pociął.

Nie umiem afiszem na suchym parkanie
W czerwony manifest schnąć farbami wzruszeń,
Nie umiem rozrastać się płaczem i łkaniem,
Nie umiem mieć duszy.

Na wicherze łopocą piękne dłonie,
Które popuchły od uderzeń wierszy,
Lecz sam nie umiem ciepłem się rozpuścić
I od własnego serca nie umiem być szerszy.

—Tylko mózg mi wyrasta, jak palce żelazne,
Białe i chłodne w przestrzeń, w uchwycie jednakie.
Jestem urwiskiem nocy jasnem i wyraźnem
Jestem w podróży—etapem i znakiem.

Nowy poeta.

Słyszysz? Targ! Bóg sprzedał świat. Kupił go tłum. Ten dro-
żej słowa liczy.

Więc zrzuć lawę złych pytań. Ostygnij na chwilę w milczeniu.
Naucz się lichwy zdań. Rób z nich wymienny pieniądz.
Usta poety: kantor! tłum: stemple mennicy!

Płacz teraz musi mieć dłonie. Dłonie zarzucać musi jak mat-
ce na słów szyi.

Słowa w blaszanych okładkach, w kruchych medaljonach
Nie są ważne. Biegacze z deską tęczą są niczyji?
Z tych twarzy tylko buduje się ścianę. Z tych rośnie lewa strona!

Wstrzymaj w zawiasach gałki ocz, ociosaj owalne kule.
Zamroź reflektor światła. Owiń się jednym obliczem.
Oko uwiąż na szczycie jednej żerdzi
I po promieniu idź, jak pies--ciągniony na smyczy!



1925—1926

Spis rzeczy :

	<i>Strona</i>
1 <i>Tytuł wiersza</i>	5
2 <i>Młodość.</i>	6
3 <i>Pusty fortepian</i>	8
4 <i>Wiara</i>	10
5 <i>Oczy za horyzontem</i>	11
6 <i>Bezbronność marzeń</i>	12
7 <i>Ciężar gliny</i>	14
8 <i>Kłamstwa lustra</i>	15
9 <i>Wieczór</i>	16
10 <i>Wyzwolenie</i>	17
11 <i>Odcięte dłonie</i>	18
12 <i>Na sali balowej</i>	19
13 <i>Nasza miłość</i>	20
14 <i>Oczekiwanie</i>	21
15 <i>Oddalenie</i>	22
16 <i>Ciężar miłości</i>	23
17 <i>O miłości</i>	25
18 <i>Usprawiedliwienie</i>	26
19 <i>Burza nad rzeką</i>	27
20 <i>Sielanka</i>	28
21 <i>Listopad</i>	31
22 <i>Stożki suchego powietrza</i>	33

	<i>Strona</i>
23 <i>Fochwała podróży</i> „	34
24 <i>Fociąg</i> „	36
25 <i>Wyjazd</i> „	37
26 <i>Upał</i> „	39
27 <i>Zielone lasy na mapach</i> „	40
28 <i>Lepienie w plastelinie</i> „	42
29 <i>Sposób podróżowania</i> „	43
30 <i>Zachód słońca w górach</i> „	45
31 <i>Śmierć wędrowca</i> „	47
32 <i>Drzewo</i> , „	48
33 <i>Tak kusi Bóg 80-letnich starców</i> „	50
34 <i>Poeta romantyczny</i> „	52
35 <i>Heraklit</i> „	54
36 <i>Tancerka</i> „	57
37 <i>Aeroplan</i> „	60
38 <i>Dystychy o kapitanie Skocie</i> „	62
39 <i>Nie umiem</i> „	63
40 <i>Nowy poeta</i> „	64

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000510774



II 286482